We Lwowie dnia 27. Maja 1869.

Nr. V. SZKOŁA Rok II.

DODATEK MIESIĘCZNY

poświęcony sprawom szkół średnich.

Wychodzi raz na miesiąc. Osobno prenumerować nie można.

Z jakiego stanowiska należy poglądać na sprawę pisowni.

Kwestya pisowni jest to kwestya stósunku pisma do mowy; wszystkie więc ortograficzne badania na tym stósunku opierać się muszą. Historycznie poprzedza mowa: istnieje ona długie wieki, zanim w znaki pisemne ujętą zostanie. Ujęcie to przechodziło trzy stadya. Najprzód przedstawiano każde słowo osobnym znakiem, jak to n. p. i teraz jeszcze astronomia czyni, oznaczając ziemię, księżyc i inne planety osobnymi znakami; była to pisownia pojęciowa czyli ideiczna. Potem rozbierano słowa na zgłoski i oznaczano każdą zgłoskę osobnym znakiem; była to pisownia zgłoskowa czyli sylabiczna. Wreszcie rozłożono każdą zgłoskę na jéj elementa czyli na głoski i oznaczono każdy taki element osobnym znakiem; jestto pisownia głoskowa czyli literowa. Czytającego zadaniem jest, te znaki dla oka czyli litery i dla ucha przystępnymi uczynić czyli wygłosić, zbierając znowu i składając te pierwiastki w owe całostki czyli słowa. Ztąd czytać znaczy właściwie tyle co zbierać, podobnie jak łacińskie *legere* i niemieckie *lesen*.

Lecz duch ludzki nie spoczywa. Nieprzeparta jakaś siła popycha go naprzód: bezustannie bada, porównuje, poprawia, doskonali swoje dzieła. Otóż i w pisowni głoskowéj czyli literowéj dostrzegł wiele braków i niedogodności, które usunąć usiłuje. Z jednéj strony rączy i niecierpliwy chciałby myśli swe przynajmniéj tak szybko na papier przenosić, jak je wygłasza; i w tym celu wynalazł stenografię czyli skoropismo, co równego kroku z mową dotrzymać usiłuje. Z drugiéj strony zatapiając się coraz głębiéj w istotę każdéj rzeczy dostrzegł, że dzisiejsze pismo głoskowe czyli literowe dalekiém jest od dokładnego obrazowania mowy, że nie jest jéj fotografią, a tym mniéj portretem, lecz niewyraźnym symbolem, dalekim od dokładnego

oddania wszystkich głosowych, akcentowych i czasowych własności żywéj mowy. Ileżto poszukiwań i sporów o głosową treść liter i o sposób ich wymawiania i akcentowania oszczędzonoby dzisiejszym uczonym, gdyby dotychczasowa pisownia była wierniejszym, dokładniejszym obrazem mowy? Czyż nie wiémy i nie żałujemy, że krasomówstwo, o ile jest żywą mową, i deklamacya nie ma dotychczas żadnego dokładnego środka tradycyjnego; a jednak tak krasomówstwo jak i poezya nie do oka tylko przemawiać powinna. Cóżby to była za korzyść, gdybyśmy wiedzieli, jak Demostenes lub Cycero swoje mowy wygłaszali, jak czytali starzy Homera lub Wirgilego, jak deklamował Garrik Hamleta a Mickiewicz swe improwizacye! Kiedy jeniusz Rafaela i Michała Anioła, Torwaldsehna i Kanowy, Mozarta i Betowena jaśnieje ustawicznie całym blaskiem i urokiem w pozostałych arcydziełach, zostawili mistrzowie sceny i mownicy tylko nagie imiona potomności, a krasomowcze i aktorskie ich arcydzieła były tylko efemerycznem, przemijającém zjawiskiem, bo nie było środka, nie było takiego pisma, coby je potomności przekazać mogło. Coby to wreszcie za niezmierne tak dla umiejętnych jako też i dla praktycznych celów przyniosło korzyści, gdybyśmy mieli pisowny system, któryby wolen od wszelkiéj narodowéj odrębności każde słyszane słowo ze wszystkiém, co brzmieniu jego towarzyszy, tak oddać potrafił, żeby świadomy czytelnik, do jakiéjbądź narodowości należy, zupełnie to samo słowo należycie mógł odczytać.

Otóż te i tym podobne względy zwróciły uwagę myślicieli jak z jednéj strony ku wynalezieniu skoropisma, tak z drugiéj strony ku szukaniu prawdziwie fonetycznéj pisowni, coby była nierównie wierniejszym i dokładniejszym żywéj mowy obrazem. A jakkolwiek usiłowania uczonych w tym drugim kierunku, jak n. p. Lipsiusza, Brükkego, Thausinga i innych dalekie są jeszcze od pomyślnego resultatu, jednakowo wątpić nie można, że się wreszcie uda znaleść taką pisownię, która nie tylko brzmienia słów dokładniéj niż dotychczasowa, ale i wszystkie akcentowe i czasowe własności mowy wyrazić potrafi.

Lecz niniejszém zadaniem mojém nie jest sprawozdanie z usiłowań na polu stenografii lub téj nówéj powszechno-fonetycznéj pisowni. Wspomniałem o tych usiłowaniach tylko dla tego, aby okazać, że sprawa pisowni nie jest rzeczą tak błahą, jak niektórzy sądzą, co takie tylko widzą badań ortograficznych pole, jakie własnemi zakreślają oczyma; że jest ona owszem nie tylko, jak prof. Małecki słusznie powiada, najściślejszym wynikiem zasadniczych praw utajonych w naturze głosek i w całym organizmie języka, źwierciadłem

wyobrażeń naszych o tém, co z rzeczy narodowych za najdroższ uważać trzeba; miarą i widomém znamieniem trafności lub mylności naszych pojęć w zakresie ojczystego języka, — ale że doniosłość jéj sięga jeszcze daléj i oddziaływa silnie i stanowczo na umiejętność, na sztukę, na życie ludzkie.

Wracam więc do dzisiejszéj głoskowéj czyli literowéj pisowni, która jeszcze całe wieki potrwa, a może i na zawsze obok tamtéj się utrzyma; podobnie jak po wynalezieniu literowéj pisowni nie zaginęła u starych Egipcyan pierwotna ideiczna pisownia, lecz z nią i obok niéj istniała. Otóż powiedziałem już, że głoskowa pisownia nasza rozbiera słowa na ich fonetyczne pierwiastki czyli głoski i każdy taki pierwiastek osobnym znakiem czyli literą wyraża. Aby zaś rozbiór ten był należytym, trzeba mieć dokładną i pewną tych pierwiastków znajomość. Bez takiéj znajomości głosek o dokładnéj i konsekwentnéj pisowni mowy być nie może; bez takiéj znajomości głosek o pisowni rozprawiać nie można.

Do znajomości głosek zaś dwojaką dochodzimy drogą. Albo badamy bezpośrednio sposób i warunki ich powstania i dochodzimy tym sposobem do poznania ich istoty i własności; albo badamy sposób wzajemnego ich na siebie działania i śledzimy zmiany, jakim w ciągu czasu i w przechodzie z jednego języka w drugi uległy, i wyprowadzamy ztąd ogólne prawa, jakim podlegają. Pierwsza droga zowie się fizyologiczną, druga historyczno-porównawczo-gramatyczną. Resultaty, do jakich się temi drogami dochodzi, przy dobréj metodzie przeciwnymi sobie być nie mogą; i owszem uzupełniają się nawzajem, i dopiéro z ich połączenia powstaje żywe i pełne głosek i ich praw pojęcie. Przeciwnie nieświadomość jednych lub drugich nie tylko czyni badanie na jednéj drodze trudniejszém, ale doprowadza częstokroć do systematów, określeń i nazw głosek albo zupełnie mylnych, albo bardzo niepewnych i dowolnych.

Żywa i pełna znajomość głosek jest więc pierwszym dobréj i stałéj pisowni warunkiem. A że wiadomość taka nie zdobywa się od razu, lecz jest resultatem długich, nieraz wiekowych spostrzegań, doświadczeń i badań, dla tego wymagać nie można, aby pisownia stanęła od razu na szczycie doskonałości.

Wiémy dobrze, ile to trudności robiły pierwszym pisarzom naszym te głoski, których natura trudniejszą jest do zbadania. I tak kiedy głoski pojedyńcze i czyste, jak n. p. *a*, *o*, *s*, *n* i t. p. odrazu należycie oznaczono, na głoski *ą*, *ę*, *sz*, *ż* i t. p. szukano przez parę wieków odpowiednych znaków, i nie możemy powiedzieć, żeby wszędzie ten znak, który się ostatecznie ustalił, był stósowny i odpowie-

dny. Wiémy, że brzmienie *sz* wyrażano z razu literami *s*, *ss*, *sch*, *sz* i t. d.; wreszcie ustalił się znak *sz*, wcale niestósowny. Głoska *sz* jest głoską zrosłą z dwóch pojedyńczych t. j. z *s* i *ch*, podobnie jak *ż* z *z* i z *j*; trzeba ją więc było oznaczyć albo literami obu tych głosek, z których powstała t. j. znakiem *sch*, jak to czynią Niemcy, lub jak Grecy, Łacinnicy i Francuzi wyrażają swoje dwugłoski *au*, *ei*, *oi*, albo trzeba było ją wyrazić znakiem *ṡ* podobnie jak analogiczne *ż* przez *z* z kropką wyrażamy. Podobnież nie dostrzeżono analogii między głoską złożoną *c* a *dz*, z których pierwsza z *t* + *s*, druga z *d* + *z* powstała; a jeżeli pierwszą zbitkę wyrażono osobnym pojedyńczym znakiem *c*, trzeba było i drugą zbitkę *(dz)* wyrazić osobnym pojedyńczym znakiem ɔ. Nie wiedziano także, że głoska *cz* jest głoską zrosłozłożoną t. j. powstałą z pojedyńczéj głoski *t* i ze zrosłéj *sz*, podobnie jak *dż* powstała z pojedyńczéj głoski *d* i ze zrosłéj *ż*; użyto więc wcale niestósownie znaku *cz* zamiast *tṡ* według analogii znaku *dż*. — Dopiero najnowsze fizyologiczne badania wykazały dowodnie, że każde nasze *i*, które przed samogłoską piszemy, nie jest właściwie *i* ale *j*; że zatem nie *się*, *dzień*, *miód*, *wiał* i t. d. ale *sję*, *dzjeń*, *mjód*, *wjał* pisać należy. Wielkie podobieństwo między samogłoską *i* a spółgłoską *j* uwiodło i uwodzi nie tylko ludzi nieumiejętnych ale nawet wielu gramatykarzy, którzy to *j* wnet samogłoską, wnet jakimś znakiem miękczenia nazywają, nie wiedząc, że to, co oni znakiem miękczenia nazywają, jest najistotniejszém *j*. Zaiste patrząc na te przerozmaite koncepta i projekta gramatykarzy można poniekąd słusznie zawołać: Panie uchowaj język nasz przed gramatykarzami, przed innymi wrogami już my go sami ochronimy!

Wykazałem kilka błędów pisowni naszéj, wynikłych z niedostatecznéj znajomości istoty głosek, nie roszcząc sobie nie tylko żadnéj pretensyi do ich poprawy, ale nie mając nawet nadziei, aby poprawa ta, jeżeli kiedy nastąpi, pierwéj nastąpiła, dopóki ogół nasz nie nauczy się szanować znakomitych na polu badań językowych powag równie jak na polu innych umiejętności.

Przechodzę teraz do drugiego czynnika pisowni, do liter. Przedewszystkiém muszę powiedzieć, że nasza zwyczajna głoskowa czyli raczéj literowa pisownia, nie tylko, jak się wyżéj rzekło, akcentowych i czasowych własności żywéj mowy nie wyraża, ale że daleką, nieraz bardzo daleką jest od dokładnego nawet samych głosek wyrażenia. Pomijam to, że litery, któreśmy Polacy wraz z innymi narodami od Rzymian wzięli, rozmaicie się w różnych językach wymawiają. Przysłuchajmy się tylko, jak n. p. litery *c*, *g*, *j*, i t. p. inaczéj nazywa i wymawia Polak, a inaczéj Francuz, Włoch, Niemiec

lub Anglik. Pomijam, mówię, tę rozmaitość głosowéj treści tych samych liter w różnych językach, i zwracam uwagę na to, że nawet w jednym i tym samym języku głosowa treść liter nie na rzeczywistości ale na konwencyjném przypuszczeniu spoczywa. Jakoż inaczéj być nie może. Bo kiedy język w skutek naturalnego i koniecznego rozwoju, jakkolwiek powoli i nieznacznie, zmienia i modyfikuje swój głoskowy zasób, pozostają litery te same; nie mogą więc być dokładnym wyrazem tych zmiennych i zmodyfikowanych głosek. Gdyby nawet język wcale się nie zmieniał, to jednak liczba głosek jest nierównie większa od liczby liter; co więcéj, liczba głosek idzie — ściśle biorąc — prawie w nieskończoność stósownie do nieskończonéj prawie rozmaitości ustroju narzędzi mownych. Ileżto rozmaitych głoskowych odcieni albo raczéj stacyj, że się tak wyrażę, mamy, zanim od głoski *a* do głoski *u* w naturalnym głosek systemie dojdziemy; a jednak alfabet nasz ma na te wszystkie głoski tylko trzy znaki t. j. *o*, *ó* i *u*. Przez ćwiczenie i znajomość języka czytamy nierównie więcéj i częstokroć inaczéj niż napisano. Tylko wtedy, kiedy się czytać uczymy, uważamy na każdą literę i jéj głoskową treść; późniéj zaś, kiedyśmy już nabyli dostatecznéj wprawy, ogarniamy wzrokiem całe słowa, a nawet całe zdania i wymawiamy takowe bez względu na to, jak one właściwie są napisane. Chciejmy tylko czytać jakie obce nieznajome nam słowo lub dowolnie przestawiane głoski, a przekonamy się o prawdziwości tego twierdzenia. Tak jest, nie ulega żadnéj wątpliwości, że przy nieświadoméj siebie artykulacyi i przy niedokładném oznaczeniu głosek przyjętemi literami tylko drogą wprawy do szybkiego oryentowania się w piśmie przychodzimy.

Wynika ztąd, że stósunek naszego pisma do mowy oparty jest głównie na konwencyi. Konwencyjną jest cała tak zwana historyczna pisownia, jakiéj n. p. Francuzi i Anglicy używają. Francuz pisze n. p. *vingt*, ale zaledwie jedna z tych liter *v* jest dokładnym wyrazem czyli znakiem brzmienia *v;* litery *i* i *n* wyrażają w tém słowie brzmienie, którego ani *i* ani *n* z osobna nie wyraża, a litery *g* i *t* nie wymawiają się wcale. Również konwencyą jest, że nasze *é* raz *i* drugi raz *y* wyraża; porównajmy słowa *chléb* i *sér*. Konwencyą, aczkolwiek nieświadomą siebie, jest i to, że wymawiając *róp*, *staf*, *kszysz* piszemy *rób*, *staw*, *krzyż*. Konwencyą jest, że wymawiając *wziol*, *wzieła*, *gżech*, *jesdem* piszemy *wziął*, *wzięła*, *grzech*, *jestem*. Konwencyą jest, jeżeli wymawiając *Austryja* piszemy *Austrya*. Gdybyśmy mieli jakie szkła na uszy, jak mamy na oczy, przekonalibyśmy się, że konwencyą jest, jeżeli piszemy *kwiat*, *gniew*, kiedy wymawiamy *kjwjat*, *gjnjw*; że konwencyą jest pisać *szklanka*

przez *n*, kiedy to podniebienne *n* jest tak różne od językowego *n* n. p. w słowie *nos*, jak *s* od *k*.

Lecz dosyć tych przykładów, aby się przekonać, że stósunek literowego pisma do mowy oparty jest przeważnie na konwencyi. Podnoszę zaś tę prawdę dla tego tak dobitnie, bo we wszystkich niemal dzisiejszych ortograficznych sporach jedna z walczących stron na stanowisku konwencyi stoi, podczas kiedy druga albo z fonetycznego, albo z historycznego stanowiska wychodzi. I tak w najnowszym, że się tak wyrażę, jotowym sporze stoi prof. Małecki na stanowisku konwencyi broniąc pisowni *inny*, *moi*, *Marya*, *Anglia*, i t. d. Ks. Malinowski krusząc kopiję za *jinny*, *moji*, *Maryja*, *Anglija* stoi na stanowisku historyczno fonetycznym; ja zaś obstając z jednéj strony za *inny*, *moi*, z drugiéj zaś za *Maryja*, *Anglija* zająłem stanowisko konwencyjno-fonetyczne. Jak długa każda strona na swém pozostanie stanowisku, tak długo o porozumieniu mowy być nie może, bo rozmaite premissy do rozmaitych prowadzą konkluzyj. Aby porozumienie nastąpić mogło, muszą obie strony wychodzić z tego samego stanowiska, t. j. albo z historycznego, albo z fonetycznego, albo z konwencyjnego. I to dodać muszę, że stanowisko konwencyjne jest zwykle najsilniejszém, bo jest wyrazem, że tak rzekę, opinii publicznéj piszących, którzy nie mając czasu ani ochoty, ani może wreszcie zdolności do zaciekania się w kwestye ortograficzne, trzymają się tego, co się raz przyjęło; i mają nawet po sobie w ogólności słuszność; bo jakkolwiek niejedna z proponowanych przez gramatykarzy zmian zmierza istotnie do ulepszenia pisowni, to jednak, gdybyśmy wszystkie proponowane a nieraz najsprzeczniejsze reformy przyjmować chcieli, toby w pisowni naszéj powstał wkrótce taki zamęt, jakiego sobie nikt życzy, kto tylko doniosłość pisowni pojmuje.

Jakkolwiek zaś uznaję prawa i przywileje konwencyi ortograficznéj, jednakowo mają te prawa i przywileje także swoje granice. Bo sądźmy, jak chcemy, zawsze zasada „pisz jak wymawiasz“ będzie najracyonalniejszą zasadą wszelkiéj pisowni. A jakkolwiek zasada ta przy literowéj pisowni z całą konsekwencyą przeprowadzić się nie da, — z powodów, któreśmy już wyżéj przytoczyli — to jednak zbliżenie się do wymowy będzie zawsze prawdziwym postępem pisowni. Z drugiéj strony coraz większe oddalenie się pisowni od wymowy stanie się wreszcie nieznośném. Widzimy to na francuskiéj i angielskiéj ortografii. Już tam przemyśliwają badacze języka nad tém, jakby pisownię do wymowy zbliżyć, która się od niéj tak niezmiernie oddaliła; a w wokalizmie angielskim próbują już oznaczać dokładniéj głoski za pomocą cyfer, które nad samogłoskami piszą.

Jest jeszcze jeden punkt, którego w kwestyi ortograficznéj pominąć nie można. Są to tak zwane historyzmy, o którycheśmy wyżéj wspomnieli. Historyzmem nazywamy w pisowni to, jeżeli nie tak piszemy, jak właściwie wymawiamy, ale tak jak historyczny rozwój języka wskazuje. I tak, historyzmem jest, jeżeli piszemy *morzyć* przez *rz*, chociaż tego *rz* już nie wymawiamy tak, jak je pierwotnie wymawiano, i jak je podziśdzień na Rusi wymawiają, lecz wymawiamy jak *ż*, tak że między rzeczownikiem *morze* a przysłówkiem *może* żadnéj co do wymowy już nie ma różnicy. Historyzmem jest pisać *z tobą*, kiedy wymawiamy *s tobą*. Otóż historyzmy grają bardzo wielką rolę nie tylko w angielskiéj i francuskiéj pisowni, gdzie cała owa konwencya, o któréjeśmy mówili, właściwie na historyzmach się opiera, ale i w naszéj pisowni, która przecież jest przeważnie fonetyczną.

O historyzmach więc wiedzieć trzeba, że jak długo istnieje w narodzie świadomość pochodzenia pewnych słów, tak długo wyrażamy to pochodzenie i pismem, chociażby wymowa w ciągu czasu się zmieniła; skoro się zaś świadomość ta uroni, wtedy pisownię łatwo zbliżamy do wymowy. I tak piszemy n. p. *gwoli*, *gdy*, *zdrowy*, *pchła* i t. p. tak jak wymawiamy, bośmy świadomość historycznego pochodzenia tych wyrazów od *ku woli*, *kiedy*, *sŭdrawŭ*, *blussa* uronili. Przeciwnie piszemy *wpaść*, *odpisać*, z *czytaniem*, *kompania* i t. p. chociaż wymawiamy *fpaść*, *otpisać*, *sz czytaniem*, *kąpania*, bo świadomość znaczenia przyimków *w*, *od*, *z* i łacińskiego pochodzenia słowa *kompania* jeszcze w nas nie zamarła. Lecz niech się tylko świadomość ta uroni, a wtedy pisania *wpaść*, *odpisać* i t. p. przy fonetycznéj pisowni naszéj zasadzie nikt utrzymać nie potrafi. Nie u wszystkich ludzi atoli i nie naraz ginie ta świadomość; u ludzi niewykształconych i mniéj czytających ginie ona prędzéj, u innych późniéj, i dla tego tamci łatwiéj i pierwéj skłaniają się do zbliżenia w téj mierze pisowni do wymowy, niż ci. I tak, kto oprócz ojczystego nie zna żadnego innego języka ani etymologii słów, łatwiéj się zgodzi na fonetyczne pisanie: rostoczyć, zdala, pruba, gieniusz, Kiekrops, Ksenofon.... niż ten, któremu etymologia i świadomość obcych języków przypomina ustawicznie głoskę *z* w przyimku *roz-* pierwszego słowa, odrębność przyimka *z* w drugiém słowie, wreszcie niemieckie *probe*, łacińskie *genius*, greckie Κέκρωψ, Ξενόφων.... Ten skłonniejszy będzie do pisania: *roztoczyć*, *z dala*, *próba*, *geniusz*, *Kekrops*, *Xenofon*.... Zachodzi tu wielkie podobieństwo między procesem rozwoju językowego, a historyą pisowni. Niech tylko świadomość znaczenia jakiego słowa, lub jakiego gramatycznego dodatku uleci

z sumienia językowego narodu, że się tak wyrażę, a słowo takie lub dodatek dostaje natychmiast jakby zawrotu głowy i leci w przepaść fonetycznego upadku. Jak długo n. p. czuł, że tak rzekę, naród w formie czasu przeszłego *pisał jesm* znaczenie gramatycznego dodatku *jesm*, tak długo stał ten dodatek nietknięty; lecz skoro tylko po połączeniu go z imiesłowem *pisał* w jedno słowo stracono tę świadomość, natychmiast zeszło to *jesm* na prostą końcówkę *em*: *pisałem*. Jak długo pamiętano, że w słowie *każdy*, zamiast pierwotnego *kto-żdy*, jest *żdy* przyczepką, tak długo odmieniano to słowo: *kogo-żdy*, *komu-żdy*, *kim-żdy* i t. d. Lecz skoro o tém zapomniano, poczęto uważać słowo to za pojedyńcze i odmieniać: *każdego*, *każdemu* i t. d. równie niegramatycznie, jak gdybyśmy łacińskie *quilibet* odmieniali: *quilibetis*, *quilibeti* i t. d. Wszelkie więc spory, czy pisać *czerpać* czy *czérpać*, *buty* czy *bóty*, *gieniusz* czy *geniusz*, *dowóctwo* czy *dowództwo*, *rześki* czy *rzeźki*, *nietylko* czy *nie tylko*, *przytém* czy *przy tém*, *niema (non est)* czy *nie ma*.... wszystkie takie spory tylko z tego stanowiska zrozumieć i załatwić się dadzą.

Mówiąc o historyzmach i wykazawszy ich powstanie i racyę bytu, musimy także pociągnąć granice, których historyzmom przekraczać nie wolno. Jeżeli n. p. wymawiając *niszszy*, *wzioł* i t. p. piszemy *niższy*, *wziął*, to przyczyna takiego pisania leży w historyi tych słów, i dopóki to historyczne pochodzenie będzie w świadomości piszących, dopóty pisanie *niższy*, *wziął* będzie miało pewną racyę bytu, jakkolwiek nie zgadza się z fonetyczną pisowni naszéj podstawą. Jeżeli zaś kto w pisowni fonetycznéj — a taką jest niezawodnie nasza — wskrzesza historyzmy, które już dawno z świadomości piszących uleciały i fonetyczną pisownią zastąpione zostały, to usiłowanie takie nie tylko jest daremném, jak tego doświadczenie uczy, ale także nieuzasadnioném.

Do takich daremnych i nieuzasadnionych usiłowań liczę n. p. usiłowanie Ks. Malinowskiego w przywróceniu różnicy pisownéj między *a* i *á*. Nie przeczę, że w mowie ludu prostego, a w niektórych okolicach nawet w ustach ludzi wykształceńszych słychać różnicę między *a* czystém i *a* ku *o* pochyloném; ale pisownia ma się stósować nie do mowy ludu niepiśmiennego, nie do dyalektów prowincyonalnych, ale do mowy wykształconego i piszącego ogółu, do mowy, że się tak wyrażę, klasycznéj. Jeżeli te dyalekty będą miały kiedyś swą odrębną literaturę, jak to n. p. we Włoszech widzimy, wtedy niech sobie piszą *a* i *á*, i nikt im prawa tego nie zaprzeczy; dzisiaj zaś nie wolno wskrzeszać téj różnicy w piśmie klasycznego języka, bo inaczéj gdzieby była granica podobnych wskrzeszań? Ks.

Malinowski chce przywrócić pisemną różnicę między *a* i *á*; ktoś inny zechce wyróżniać *b* od *b'*, *w* od *w'* i t. d.; trzeci słysząc, jak lud prosty wymawia nosowe *ą* n. p. *świanty*, zechce przywrócić potrójny *rynezm* w pisowni naszéj, t. j. *ą*, *ǫ*, *ę*; czwarty, jak Miklosich zechce pisać *dwuch*, *cztyry*, *bohatyr* i t. d. dla tego, że niegdyś tak wymawiano i pisano. Idąc tym torem daléj — otworzylibyśmy wrota tysiącznym nowacyom w duchu historyzmowym, i wywrócili cały i tak już mocno zachwiany fonetyzm naszéj pisowni. Powtarzam więc jeszcze raz, że jeżeli istniejące historyzmy naszéj pisowni mają racyę bytu, to pomnażanie ich odgrzebywaniem dawnych form języka nie ma w fonetycznéj pisowni, jaką jest nasza, żadnéj racyonalnéj podstawy, i — na szczęście — żadnéj nadziei powodzenia.

A jeżeli ci reformatorowie reformami swemi chcą przywrócić i upowszechnić dawny sposób mówienia, to oświadczam im wręcz, że usiłowanie ich w téj mierze jest usiłowaniem Danaid. Bo jak człowiek biegowi krwi swojéj nie może nadać dowolnie innego kierunku, jak nie może wzrostu swego ani o jednę powiększyć linię, tak nie tylko jednego ale wszystkich gramatykarzy usiłowania ani jednéj głoski językowi dodać lub ująć, ani jednéj jego zmiany w inne tory wprowadzić nie potrafią; a jak nad naturą o tyle tylko panujemy, o ile jéj prawa znamy i do nich się stósujemy, tak samo poeta lub filozof o tyle tylko może wpłynąć na rozwój języka, o ile jego prawa pozna i do nich się zastósuje; bo wiedzieć trzeba, że język nie jest utworem sztuki lub namysłu ludzkiego, ale dziełem bezwiednéj natury ludzkiéj, jakkolwiek nie bezmyślnéj, i naturalnego rozwoju jego żadna siła ludzka powstrzymać ani w inne tory wprowadzić nie może.

W końcu pozwolę sobie jeszcze jednę uwagę — nad granicami pisowni, których jéj przekraczać nie wolno. Czy pisać: *Marya*, *biec*, *ztąd*, *generacya*, *bóty*...., czyli téż: *Maryja* lub *Marja*, *biedz*, *z tąd* lub *stąd*, *gieneracyja*, *buty*...., to niezawodnie rzecz pisowni; bo czy tak czy siak słowa te piszemy, wymawiamy je zawsze jednakowo. Lecz czy mamy pisać *moję* czy *moją*, *kaucyą* czy *kaucyę*, *umarszy* czy *umarłszy*...., to już nie jest kwestyą pisowni ale gramatyki, bo tu nie o stósunek głosek do pisma, ale o stósunek głosek między sobą chodzi. Mylą się więc ci gramatykarze, co podobne kwestye do ortografii liczą i ze stanowiska ortograficznego o nich wyrokują.

Wykazałem stanowisko, z jakiego zdaniem mojém na wszelkie ortograficzne kwestye poglądać należy. Gdyby wszyscy gramatykarze

naši z tego stanowiska na pisownię patrzeli, mielibyśmy niezawodnie mniéj ortograficznych sporów, a więcéj rzetelnych dla pisowni korzyści. *Bronisław Trzaskowski.*

Badania optyczne na słońcu.

II.

Widzieliśmy poprzednio (ob. Nr. III Dodatku), jak starannie obserwowali astronomowie widma protuberancyj w chwili całkowitego zakrycia tarczy słonecznéj. Wypadki tych obserwacyj nie mogły być jednak całkiem zadowalniające, gdyż krótkość trwania zjawiska nie dozwalała dokładnie porównać pasków charakterystycznych z podziałką Kirchhofa i oznaczyć ściśle ilości i rozkładu tychże w widmie. Trzeba więc było koniecznie wynaleść sposób analizowania widm różowych prot. w każdéj chwili, niezależnie od zaćmień, mając przytém wzgląd na plamy słoneczne i na zmiany zachodzące w atmosferze słońca.

To zadanie rozwiązali prawie równocześnie dwaj uczeni astronomowie: Norman Lockyer w Londynie i Janssen w Guntoor.

Analizując pod spektroskopem dwa różne od siebie widma, t. j. widmo zwykłe słońca i widmo protuberancyj, spostrzegł Janssen znaczną różnicę w oświetleniu pojedyńczych części składowych tychże. Paski oderwane w widmie prot. świeciły się bardzo jasno, a blask ich przewyższał znacznie blask linijek barwnych zwykłego widma słonecznego. To spostrzeżenie stało się punktém wyjścia dla jednego z najważniejszych odkryć w dziedzinie fizyki kosmicznéj. — Wyobraźmy sobie naokoło gorejącego jądra słońca, otoczonego światłosferą, lekką powłokę gazową, która prawdopodobnie jest przyczyną pojawiania się protuberancyj. Nadajmy wązkiemu szpaltowi spektroskopu kierunek styczny do tarczy słońca, natenczas otrzymamy dwa widma tuż ponad sobą, z których jedno składa się z oderwanych pasków silnie oświetlonych, podczas gdy drugie stanowi prawie ciągłe pasmo różnobarwne o bladem świetle. Każde z tych dwu widm powstało z rozkładu innéj wiązki promieni padających na pryzmę. Przez stósowny wybór szkła ocznego w spektroskopie możemy dowolnie odosobnić jednę z tych wiązek i obserwować jéj widmo oddzielnie, a wstawiając w ognisku spektroskopu cieniuchną błonę z wązkim otworem w tém miejscu, w którém charakterystyczne paski widma prot. prawdopodobnie się okażą, ograniczymy analizę naszę tylko na promienie pewnéj łamliwości. Przez stósowny obrót całego przyrządu możemy się przenosić kolejno do wszystkich punktów

na obwodzie tarczy słonecznéj i oznaczyć wszystkie miejsca, w których pojawia się widmo przerwane. Tym sposobem badał Janssen widma powłoki gazowéj słońca, w któréj skład przeważnie wchodzi wód, i przez długie i subtelne doświadczenia zdołał nietylko naokoło słońca zobaczyć niejako protuberancye, ale skonstatować nawet ich istnienie na tarczy słonecznéj. Co więc przedtém tylko w chwili zaćmień całkowitych widziano jako zjawisko nadzwyczajne, to dzisiaj w każdym czasie dokładnie zbadać możemy.

Światłosfera słońca nie wszędzie zdaje się być równéj grubości, bo przy obrocie spektroskopu spostrzegamy w widmie powłoki wodorowéj od czasu do czasu jasne linijki prostopadłe do charakterystycznych pasków wodoru. Łatwo więc wyobrazić sobie, iż owa powłoka nie jest doskonałą kulą, lecz w wielu miejscach wznosi się w postaci stożka spartego na światłosferze, a może nawet pojedyncze jéj cząstki odrywają się od całości i krążą luźnie naokoło słońca, tworząc gęste chmury wodu. Te chmury stanowią prawdopodobnie owe zagadkowe płomyki różowe, które na tle korony spostrzegamy podczas całkowitego zaćmienia słońca. Tworzenie się i odrywanie tych mas obłoczkowych począł śledzić Janssen podczas swego pobytu w Indyach Wschodnich i przesłał akademii paryskiéj kilka rysunków unaoczniających szybkie zmiany kształtów na powierzchni słońca.

Chociaż Janssen pierwszy obserwował widmo powłoki gazowéj słońca, to przecież dodać należy, iż Norman Lockyer pierwszy wypowiedział możliwość takiéj obserwacyi w rozprawie odczytanéj na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego (Royal Society) w Londynie dnia 15. listopada 1866 r. Odtąd Lockyer nie przestawał zajmować się tą ważną sprawą i dnia 20. paźdz. 1868 r. analizował po raz pierwszy spektroskopem swoim widmo przerwane powłoki gazowéj oddzielnie od zwykłego widma słonecznego. Skonstatowawszy trzy paski charakterystyczne, oznaczył we dwa dni późniéj kształt wielkiéj prot. na północnym krańcu słońca. Dnia 24. paźdz. otrzymał prezydent akademii paryskiéj, Delaunay, list od Lockyera, zawiadamiający go o tém ważném odkryciu, a kilka chwil potem nadszedł list od Janssena z Kokanady z taką samą wieścią, w którym autor streszcza doświadczenia swoje od 19. sierpnia do 4. września. Taka jednoczesność w odkryciu jednego i tego samego zjawiska przez kilku uczonych zdarzała się dotąd często. Przypominamy tu z najnowszych czasów odkrycie Neptuna przez astronomów Leverrier i Adams w r. 1846, i oznaczenie związku pomiędzy peryodem pojawiania się plam słonecznych a peryodem zmian deklinacyi magnetycznéj przez Wolfa i Sabinego w r. 1852.

Powiedzieliśmy powyżéj, iż wód jest najgłówniejszym z pierwiastków stanowiących skład chemiczny powłoki gazowéj otaczającéj światłosferę; paski bowiem charakterystyczne C, D i F wyróżniają widmo wodu od innych. Przypatrzywszy się jednak bliżéj widmom prot., spostrzeżemy mnóstwo innych pasków, mniéj lub więcéj świetnych, które nie padają na żadną z linij Frauenhofera, i zmieniają swój kształt i układ w różnych punktach na obwodzie słońca. Czasem pojawi się dokładnie kilka cieniuchnych pasków między D i E, E i F, które po kilku chwilach nikną; czasem linia fioletowa G wystąpi na przeciwnym krańcu widma, a linia F przybierze kształt strzałki i t. p. Słowem, czém staranniéj analizujemy widmo przerwane powłoki protuberancyjnéj, tém większe napotykamy trudności w odczytywaniu linijek, które kreśli promień rozłożony w spektroskopie. Aby usunąć te trudności, trzeba koniecznie udoskonalić analizę widmową pierwiastków będących w stanie lotnym, i zbadać wpływ temperatury i ciśnienia na ilość i rozkład linijek barwnych. Badania dotychczasowe w tym kierunku są dopiero wstępem do umiejętnéj uprawy téj gałęzi optyki doświadczalnéj.

Analiza widmowa jest jedną z najnowszych metod umiejętnego badania zjawisk w przyrodzie, a chociaż rezultaty przez nią osiągnięte nie mają jeszcze wydatnéj cechy prawd pozytywnych, przecież przyznać należy, iż ona wielce się przyczyniła do ustalenia téj najważniejszéj z zasad dzisiejszych filozofii przyrodniczéj, iż wszystkie ciała niebieskie, należące do naszego systemu słonecznego, zbudowane są z jednych i tych samych pierwiastków, podlegających działaniu jednych i tych samych sił międzycząstkowych. Z tego twierdzenia, które dziś niemal pewnikiem zwać możemy, wyłaniają się dwie inne, niemniéj ważne zasady: stateczności materyi i stateczności siły w przyrodzie, które mechanice molekularnéj posłużą do ujęcia zjawisk przyrodzonych w ścisłe prawa drogą analizy matematycznéj.

Gdyby mi wolno było zwrócić uwagę czytelników „Szkoły“ na jeden z minionych okresów historyi nauk przyrodniczych, tobym powiedział, iż czas, w którym żyjemy, wiele ma podobieństwa do okresu przed Newtonem. Podejmowano wtenczas przez długie lata prace olbrzymich rozmiarów i ogromnéj doniosłości: zbadano doświadczalnie prawa obrotu ciał planetarnych i wolnego spadku ciał na po wierzchni ziemi, oznaczono ciśnienie powietrza jako funkcyę wysokości warstw atmosferycznych i t p. Ale te wszystkie fakta stały obok siebie bez związku organicznego i tylko niektórzy uczeni, jak Wren, Halley i Hook (ob. Whewell: „History of inductive sciences“ Vol. II.) przeczuwali konieczność tego związku. Genialny Newton

wykrył go i zasadą przyciągania kosmicznego wyjaśnił wszystkie zagadki i tajemnice.

Czyliż dzisiaj nie taki sam prawie stan rzeczy? Z każdym dniem mnożą się fakta i doskonalą metody obserwacyi; przekonani o związku między wszystkiemi zjawiskami w systemie słonecznym, sięgamy śmiało po za granice jego do komet i gwiazd obłoczkowych, aby z pasków w widmie dowiedzieć się o ich przyrodzie. Czém daléj dochodzimy w dociekaniach naszych, tém wyżéj piętrzą się tajemnice, a na pytania nasze „dlaczego?“ nie znachodzimy często żadnéj odpowiedzi. Tę odpowiedź może nam dać tylko drugi Newton, który potężną myślą obejmie wszystko w jednę całość. Dla twórczych pomysłów jego gromadzi dzisiaj analiza widmowa surowe materyały.

W Zurychu 7. maja 1869 r.

J. Franke.

Kronika szkół.

Szkoły średnie w Anglii.

Anglię wyobrażamy sobie zawsze jako kraj wolności i stawiamy ją zwykle jako wzór dla Europy. Jeżeli instytucye państwa są tak dobre, myślimy, że i szkoły takie będą. Tym czasem szkoły angielskie nie dorównają kontynentalnym a mianowicie francuskim lub niemieckim. Jednego wszakże moglibyśmy się wszyscy od nich nauczyć, t. j. żywego udziału i poświęcenia, jakie tam wszystkie stany, kobiéty zarówno jak mężczyźni, dla wychowania publicznego okazują. Zaiste ledwieby kto uwierzył, ile w tym kraju, gdzie się państwo o wychowanie prawie wcale nie troszczy, gorliwość i zabiegi pojedyńczych osób i korporacyj w tym kierunku działają.

Przegląd nasz szkół angielskich zaczynamy od *University of London* i *Kings College.* Nie są to uniwersytety nasze. lecz coś nakształt naszych wyższych gimnazyów. Lord Brougham i przyjaciele jego (stronnictwo Whigów) założyli w roku 1826 wyższą szkołę nowszego systemu, tak zwane *University College*, wykluczając z niéj wszelką naukę religii. Przeciwne stronnictwo Torysów założyło w dwa lata potém *Kings College* w tym celu, aby średnie klasy ludności przy kościele anglikańskim utrzymać. Lepiéj od powyższych dwóch uorganizowaną jest *City of London School*, któréj zadaniem jest „dać liberalne i pożyteczne wychowania dzieciom tych rodzin, które się handlem i przemysłem trudnią, nie oddalając ich od opieki ro-

dzicielskiéj. Nauka trwa w téj szkole od godz. 9—3 z półgodzinną koło południa przerwą. W roku 1867 liczyła ta szkoła 650 uczniów. Plan naukowy ma to szczególnego, że wiele czasu paświęcają literaturze angielskiéj, czytając pilnie Szekspira i Miltona. Nauka przyrody byłaby przy lepszéj metodzie wcale dobrą.

Do tegoż rodzaju szkół, zwanych *Grammar Schools* (szkoły gramatyczne) i *College* (gimnazya), należą szkoły w Eton, Westminster, Charterhouse, Saint-Paul.... *College Etońskie* datuje się od roku 1411, a Saint-Paul od 16. wieku. Ta ostatnia szkoła ma zawsze tylko 153 uczniów. Założyciel bowiem ustanowił na pamiątkę 153 ryb, które apostołowie przy cudownym połowie wyciągnęli, aby szkoła jego zawsze 153 uczniów miała. Szkoła Eteńska ma obecnie 800 uczniów, inne znacznie mniéj.

Przypatrując się karności tych szkół, widzimy, że panuje tam nierównie większa wolność niż w szkołach naszych lub niemieckich albo francuskich. Ważne miejsce zajmują tam gry, mianowicie gra w piłkę. Każda szkoła musi mieć obszerne miejsce do zabaw; gra jest obowiązkową; bez cricketu nie ma tam żadnéj szkoły Każda szkoła ma stypendystów, mających osobny ubiór. Nie płacą oni nic za utrzymanie i naukę, podczas kiedy zwykli pensyonarze do 1000 talarów rocznie płacić muszą. Ciekawa, że w szkołach angielskich, gdzie przecież sami „gentlemy“ się znajdują, utrzymała się dotychczas kara cielesna; mianowicie chłosta dłoni jest tam karą zwyczajną. Prawie każda szkoła ma swój odrębny ubiór; uczniowie szkoły *Christ Hospital* chodzą zawsze z odkrytą głową. Szczególną charakterystyką tego rodzaju szkół angielskich jest to, że zostają prawie zupełnie bez nadzoru. Po za szkołą używają uczniowie zupełnéj wolności, w szkole nadzorują i rządzą się sami. Jednakowo system monitorów nie ma tam nic szpiegowskiego, a zadaniem jego jest powierzyć utrzymanie karności szkolnéj saméj młodzieży; a więc *selfgouvernement* (samorząd) poczyna się już w szkole. System monitorów jest tam także silnym bodźcem do pracy i dobrego prowadzenia się, gdyż tylko wzorowi pod każdym względem uczniowie mogą być monitorami. Inną właściwością szkół tych jest tak zwane *fagging* t. j. zwyczaj obsługiwania starszych uczniów przez młodszych. W college Westminster posunięto ten zwyczaj tak daleko, że młodszy uczeń (queen's scholar) nie ma prawie żadnego do nauki czasu. Usługa ta daje także często powód do kłótni i bijatyk.

Nauczyciele tych szkół nie odbierają zawodowego wykształcenia, gdyż nie ma w Anglii pedagogicznych seminaryów. Jednakowo trudno otrzymać posadę nauczyciela przy tych szkołach, jeżeli się nie

było uczniem akademii w Oxfordzie lub Cambridge. Nauczyciele są po większéj części duchowni; wypływa to zaś z teologicznego charakteru tych zakładów. Praca nauczyciela jest ogromna. Każdy uczy przynajmniéj 24 godzin tygodniowo, nie licząc w to korektur zadań. W Etonie pracuje nauczyciel dziennie 9—10 godzin. Za to téż i płaca jest bardzo znaczna. Dyrektor (head-master) szkoły Etońskiéj pobiera 4500 funtów szterlingów rocznéj płacy, a dyrektor w Saint-Paul 6000 talarów.

Łacina i greczyzna są głównymi przedmiotami nauki tych szkół, a nauka obcych języków bardzo powoli się wciska. Książe Albert ustanowił w Etonie dwie nagrody dla uczniów żyjących języków, ale mało kto ubiega się o nie. Gieografia i nauki przyrodnicze są także zaniedbane, a matematyka należy do najnowszych akwizycyj. W ogóle trzymają się Anglicy uporczywie dawnych form i tradycyj.

Zadań pisemnych nie wiele dają w tych szkołach, ale natomiast ćwiczą uczniów bardzo pilnie w pisaniu łacińskich i greckich wierszy we wszystkich miarach wierszowych. Niktby nie uwierzył, do jakiego mechanizmu dochodzą tym sposobem uczniowie w wersyfikacyi. Że treść na tém wiele cierpi, to niezawodna. Zadania przechodzą bardzo często zakres pojęcia uczniów. Nieraz dają 14—15 letnim uczniom takie temata: o żegludze u starożytnych; o niewolnictwie u starożytnych i nowożytnych narodów; o cywilizacyi starego i nowego świata i t. p. Przy tłómaczeniu klasyków patrzą tylko na to, aby myśl uchwycić, na wysłowienie nie zważają wcale. Metoda we wszystkich prawie naukach jest bardzo licha. W gieometryi trzymają się dotychczas Euklida.

Uczniowie wyższych klas zawiązują bardzo często między sobą stowarzyszenia dla nabrania wprawy w publicznem mówieniu; i dziwić się trzeba, jak nieraz młodzi mowcy najtrudniejsze kwestye traktują, jak n. p. Czy zasługuje Cromwell na podziwienie? Czy może bronić adwokat klienta, o którego winie jest przekonany? Czy była sprawiedliwą wojna krymska? Czy dobrą jest polityka obecnego rządu? i t. p. Przy każdém zgromadzeniu spisuje się wywód słowny; a jakkolwiek nie ma tam żadnego nauczyciela, panuje jednak wzorowy porządek. Jeżeli przyjdzie na zgromadzenie dyrektor, mianują go zwykle honorowym prezydentem. I dziennikarstwo uprawia się w tych szkołach. W Etonie wydawał ongi uczeń Jerzy Canning „Mikrokosmos“, w którym już wtedy widać było przyszłego ministra.

Inspekcyj naszych nie ma w tych szkołach. Niekiedy atoli odwiedzi szkołę królowa, lub minister jaki albo wysoki dygnitarz

kościelny. Egzamina publiczne istnieją. Wakacye wynoszą rocznie 14—16 tygodni i rozdzielone są na czas Bożego narodzenia, Wielkiéj nocy i połowę lata.

Zadaniem jedyném tych szkół jest przygotowanie do uniwersytetu.

Przypatrzmy się teraz bliżéj najgłówniejszym z tych szkół. Szkoła Etońska, u stóp zamku Windsor, przedstawia swém zabudowaniem, bogatą biblioteką, dziedzińcami, miejscami zabaw, kaplicą i salami szkolnemi wspaniały widok. Najpierwsze imiona Anglii figurowały na liście uczniów téj szkoły: Walpole, Belingbroke, Pitt, Fox, Wellesley, Melborne, Gladstone, Canning, a Lord Derby skonstatował, że z 13 członków jego ministerstwo było 6 uczniami szkoły Etońskiéj. Wszyscy uczniowie téj szkoły, którzy się późniéj w piśmiennictwie odznaczyli, przesyłali swe prace szkole, która ich wychowała. Tę jednę wadę ma szkoła Etońska, że jest zbyt konserwatywna. Nie dozwala ona przystępu żadnéj nowszéj idei w świecie pedagogicznym,

Szkoła Westminsterska kryje się w cieniach starego tumu. Wstępując w jéj progi zdaje się, że jesteśmy w klasztorze. Początek jéj sięga czasów Wilhelma Zdobywcy. I tutaj dzierżą absolutne panowanie stare tradycye.

Szkoła w Charterhouse różni się od tamtych. Stypendyści otrzymują opuszczając szkołę po 600 talarów na dalsze studya. Radę nadzorczą téj szkoły stanowią: królowa, książę Walii, lordowie Russel i Derby, biskup londyński, arcybiskup z Canterbury i arcybiskup z Yorku. Szkoła ta odznacza się przed innemi tém, że dwa dni w tygodniu, środę i sobotę, poświęca wyłącznie matematyce.

Szkoła Christ's Hospital ma zupełnie odrębny charakter. Kto zwiedza Londyn na wiosnę, może tu być świadkiem szczególnéj ceremonii. Odnosi ona się do czasów założenia téj szkoły. Co rok w wielki czwartek odprawia się wieczór wspólna uczta młodzieży szkolnéj. W wielkiéj sali zasiada w swoim stroju (niebieski surdut, żółte spodnie i żółta kamizelka) 1200 pensyonarzy około ogromnych stołów, a na pierwszém miejscu siedzi wszędzie poważna kobieta. Na małém podwyższeniu siedzi lord-mayor, członkowie rady szkolnéj i pierwsze znakomitości miasta. Przed rozpoczęciem wieczerzy odśpiewują uczniowie psalm. Jedzenie tak skromne jak w dzień powszedni. Po wieczerzy znowu modlitwa, a potém defiluje młodzież parami przed gośćmi i czyni ukłony przed lordem-majorem, który ją uprzejmie pozdrawia. Szkoła ta uczy według nowego systemu. Oprócz

łaciny i greczyzny uczą tam matematyki, nauk handlowych, rysunków, języka francuskiego i t. p.

Szkoła przy Saint-Paul jest eksternatem. Ze wszystkich stron miasta przybywają 153 uczniowie pieszo, koleją lub bryczkami. Wszystkie klasy téj szkoły mieszczą się w jednéj wielkiéj sali. O grach i odpoczynku nie ma tu mowy. Bo i gdzie grać, kiedy wyszedłszy z sali wstępuje się zaraz na ulicę, jednę z najludniejszych?

Oprócz wymienionych szkół ma Londyn bardzo wiele *Grammar Schools*. Zupełnie innego rodzaju są szkoły, które potrzeby tegoczesne mają na względzie, a utrzymywane są przez towarzystwa, akcyonaryuszów i t. p. Szkoły te zowią się *proprietary schools* i *private schools*. *R.*

Wiadomości z dziedziny piśmiennictwa.

Słownik do Xenofonta Anabasis ułożył Dr. Łazarewicz, nauczyciel przy gimnaz. św. Maryi Magd. w Poznaniu.

Jakkolwiek słownik Łazarewicza do Xenofonta Anabazy już dość dawno, bo w r. 1863, opuścił domowe ognisko, jednakowoż nie od rzeczy będzie, dziś jeszcze zwrócić na niego uwagę pedagogicznego świata polskiego, ponieważ nasze nowsze pismiennictwo naukowe nie może się dotąd poszczycić ogólnym słownikiem grecko-polskim. Jedyny bowiem tego rodzaju słownik Michała Jurkowskiego, który wyszedł w Krzemieńcu w roku 1830 nakładem i drukiem Glücksberga, sięga tylko do głoski λ, a tém samém nie ma żadnéj wartości pedagogicznéj; drugą połowę tego słownika nabył w rękopiśmie Jan Konstanty Żupański, znany zaszczytnie księgarz i nakładca poznański, i zamierzał się zająć jego całkowitém wydawnictwem przy pomocy, jak słyszałem, rządu Wielopolskiego; ale, jak się zdaje, wypadki roku 1863 stanęły z wielkim dla szkół i nauk polskich uszczerbkiem tak znakomitemu przedsięwzięciu na zawadzie. Dziwnie więc zawisł nad słownikiem Jurkowskiego fatalizm polityczny roku 1830 i 1863.

Słownik Łazarewicza do Xenofonta Anabazy jest przeznaczony dla chłopców, przystępujących do czytania klasyków greckich, a nieobeznanych jeszcze nawet z najniezbędniejszemi prawidłami składni języka greckiego. Dla utorowania chłopcu drogi do pokonywania trudności, na jakie przy czytaniu Xenofonta Anabazy napotykać będzie, objaśnia Łazarewicz tak język jak i rzeczy, usprawiedliwia

różne znaczenia wyrazów greckich podawaniem synonimicznych wskazówek polskich, a dla uchronienia chłopca od pomyłek w ich zastósowaniu, podaje zwykle liczbę księgi, rozdziału i ustępu, gdzie opatrzonych tym odsyłaczem wyrazów lub zwrotów polskich użyć należy. Także dołącza Łazarewicz dla chłopca, który, przystępując do czytania Xenofonta Anabazy, nie zna jeszcze częstokroć całéj morfologicznéj strony języka greckiego, nieregularne formy, ażeby chłopiec tym sposobem dokładnie sobie przyswoił fleksyą, która ciągłego wymaga ćwiczenia i odświeżania w pamięci. Aby chłopcu ułatwić przekład oryginału greckiego na język ojczysty, wyłuszcza Łazarewicz poprawną polszczyzną miejsca przytrudne, a gdzie się nie może spodziewać, że chłopiec nawet przy pomocy jego słownika zdoła zwrot grecki zgodnie z duchem języka ojczystego przełożyć, sam mu stósowny przekład podsuwa. Główną zaletę tego słownika stanowi sumienna poprawność w precyzyjném określaniu znaczeń greckich, jak téż dokładność, nader rzadko w drobiazgowość wpadająca.

W łacinie podobny słownik szczegółowy nie zawsze bywa pożyteczny: chłopiec, przystępujący do czytania pierwszego klasyka rzymskiego, już się poprzednio obeznał nie tylko z wszystkiemi prawidłami morfologii łacińskiéj, ale oraz z najgłówniejszemi regułami składni, przez co mniéj już bez porównania miejsc będzie mu sprawiało trudność w przekładzie na język ojczysty. Z tego powodu wadzi zbyteczna dokładność, bo odejmuje często chłopcu sposobność do samozzielnego zastanawiania się, a mechanizuje przygotowanie się w domu, gdzie chłopiec zwykle bez natężenia uwagi przestaje tylko na wypisaniu tego, co słownikarz dla jego wygody objaśnił lub przełożył. Ten zarzut nie może nigdy w takim stopniu spotkać szczegółowego słownika, przeznaczonego w naszéj organizacyi gimnazyalnéj do pierwszego klasyka greckiego. Tu nie może jeszcze chłopiec używać większego słownika greckiego z tą korzyścią, z jaką używa łacińskiego, a odszukanie w ogólnym słowniku greckim odpowiedniego znaczenia nie tylko zabierałoby za wiele czasu, ale byłoby nawet często rzeczą wcale niepodobną. Zważywszy nareszcie, że nas nikt nie pomówi o dostateczną w Galicyi liczbę wytrawnych pedagogów gimnazyalnych, mniemam, że Łazarewicz nie tylko chłopcu usunął zbyt wielkie trudności, ale i nauczycielowi znacznie ułatwił nauczanie.

Słownik Łazarewicza do Xenofonta Anabazy zdoła więc zadosyć uczynić obecnéj potrzebie, a z czasem, gdyby okoliczności i warunki od nas samych niezależne więcéj sprzyjały, może wraz z jego słownikiem do Odysei, wydanym w roku 1865, stać się cennym przyczynkiem do ogólnego słownika grecko-polskiego, któryby nie

tylko uczniom naszym, ale skończonym zwolennikom humanistyki wielką wyświadczył przysługę.

Słownik do Xenofonta Anabazy, wypracowany przez Theissa, należy do rzędu tak wziętych książek pedagogicznych, że dziś prawie po wszystkich gimnazyach niemieckich zastąpił miejsce dawniejszych słowników tego rodzaju. A przecież, na jaki chroma niedobór w porównaniu z słownikiem Łazarewicza. Naprzód nie zawiera on wszystkich wyrazów, znachodzących się w Anabazie; nie ma w nim n. p. wyrazów: ἀχάριτος, βουλή, γοηθεύω, θυμός, κάλλος, προάρχω, πῶμα, στρατηγία, ὑπερανατείνω. Powtóre nie podaje wszystkich znaczeń, które ten sam wyraz grecki ma w Xenofonta Anabazie; n. p. pod πολέμιος nie dowié się chłopiec, co ten przymiotnik rzeczownie użyty znaczy, a pod κεῖμαι lub ὅπλον nie znajdzie, jak należy przełożyć κεῖσθαι τὰ ὅπλα. Łazarewicz nie podpada temu zarzutowi, a jego zasługa w tém leży, że się sumiennie mozolnéj pracy dla umysłowéj korzyści naszéj młodzieży szkolnéj podjął.

W Krakowie, 24. kwietnia 1869.

Brandowski.

W ostatnich czasach wzięto się u nas gorliwie do studyów nad najstarszymi pomnikami języka polskiego. Profesor przy realném gimnazyum w Brodach, p. Narbrzan Bętkowski napisał rozprawę „Bogarodzica, pieśń z czasów zaprowadzenia chrześciaństwa w Polsce. Słowa z muzyką, z najdawniejszych pomników zestawione i pod względem historycznym, estetycznym, filologicznym jakoteż muzycznym rozebrane“ — umieszczoną w XXXVIII. tomie Rocz. Tow. nauk. krak. Krytykę téj pracy podamy późniéj. — W 3. zeszycie Biblioteki warszawskiéj z roku bierzącego znajduje się rzecz prof. szkoły wyższéj Warsz. p. Papłońskiego o rękopisie psałterza Małgorzaty. — P. Konst. Małkowski ma według doniesień dzienników gotowe już do druku dzieło o najdawniejszych pomnikach języka polskiego. — P. Skrzydułka zajmuje się odpisaniem przechowanego w Paryżu w bibliotece Ks. Czartoryskich psałterza polskiego z XV. wieku — P. Suchecki, prof. przy akademii Jagiel., ma się także obecnie podobnemi studyami zajmować. — List Hr. Przezdzieckiego, który tu podług Przeglądu polskiego (Rok III. zeszyt X.) podajemy, zawiera także kilka wzmianek o dawnych zabytkach języka polskiego. „Przepędziłem w Pradze dwa dni i czynnie i mile, a dla mnie z naukową korzyścią. Poznałem pp. Zapa, Vrtatkę. Wocla, Hanusza, Erbena, Palackiego, X. Stulca, Perwolfa.

Po zwiedzeniu restaurowanéj obecnie katedry i odnawianego kościoła św. Jerzego, także po bytności na Wyszehradzie, zaszedłem na Emaus. Zawiodła mię tam wzmianka w książce Łepkowskiego (Z Przeszłości. Kraków 1862. -- str. 177.) o chorągwiach polskich. Z 12 proporców tam zawieszonych, jeden tylko jako tako się zachował — na tym nie ma herbów — reszta zbutwiała lub odpadła z drzewców. Komisya runiczna delegowana z Tow. nauk. krak., któréj mi panowie kazaliście przewodniczyć, dała mi tutaj prawie główne zajęcie. Runami interesuje się w Pradze z miłością do rzeczy Dr. E. Wocel, profesor archeologii. W ostatniém dziele swojém (*Pravek zeme ceske*) powiada o naszych mikorzyńskich kamieniach (idąc za zdaniem Grimma), iż mogą sprawdzić i potwierdzić autentyczność bożków prilwitzkich, jeźli za niewątpliwie współczesne uznane zostaną. Runy Krolmusa poczytuje profesor Wocel za owoc fantazyi samegoż ich badacza. W Dreznie rozpatrywałym się w wydaniach Helmolda, w sprawie różnego czytania i wątpliwości czyli: *Prove* czy *Prone* jest w oryginalnym tekscie. Porozumiewam się także w tym względzie z Dr. Wilhelmem Mannhardtem, który właśnie przysposobił do druku dzieło: *Mythologie der alten Preussen, Litauer und Letten.* W Muzeum czeskiem w Pradze szukałem polskich pamiątek. Jest (w katalogu pod l. 596) litewski przedchrześcijański kalendarz, na wałku drewnianym — u spodu herby litewskie. Ma to być kopia tak zwanego berła Gediminowego srebrnego, znalezionego podobno w Ujeździe w kr. polskiém w r. 1630. Pan Maciej Gusiew darował tę kopią Pradze r. 1858. Mają także pół karty pergamenowéj (wyjęte z oprawy staréj książki), na któréj spisany w XIV wieku po polsku ustęp z biblii. Wreszcie jest ułamek druku z XV wieku z *Credo*, po polsku pisany. Bibliotekarz p. Vrtatko, poleci zrobienie fotografii tych ułamków. Jaromir Erben, archiwista miejski, pracuje nad drugim tomem: *Regesta diplomatica nec non epistolaria Bohemiae et Moraviae.* Wiele tam interesujących nas wiadomości. Uczeni czescy ubolewają nad brakiem ściślejszego stósunku i wzajemnéj wymiany z badaczami polskimi.“

Förster Rich. Quaestiones de attractione enuntiationum relativarum, *qualis quum in aliis tum in graeca lingua potissimumque apud graecos poetas fuerit Berlin, 1868. Mitscher and Röstell 1. Thl.*

Autor téj gruntownéj monografii przechodzi i rozbiera zdania starszych i nowszych gramatyków i wprowadza nas w istotę i historyę

tego syntaktycznego zjawiska w języku poetów greckich aż do bizantyńskich pisarzy, przyczém niejednę szczęśliwą poprawkę proponuje. Źródło attrakcyi upatruje autor słusznie w przewadze zdania głównego (wskazującego) nad względném. Przewaga ta sprawia, że chcąc zdanie względne połączyć ściśléj z główném, kładzie język zaimek względny w ten sam przypadek, w którym albo stoi demonstrativum albo w którym się go domyślamy. Attrakcya zachodzi szczególnie wtedy, jeżeli zdanie względne dla braku orzeczenia, albo mając tylko verbum substantivum, nie ma dostatecznego punktu oparcia, aby się obok ważniejszego zdania wskazującego samoistnie utrzymać; albo jeżeli w braku zaimka wskazującego całe zdanie względne jako przedmiot do czasownika zdania głównego należy. Stósunek ten znajduje się też jedynie u Homera; i dopiéro po wojnach perskich widać wyrobioną już attrakcyę. Nie można użyć attrakcyi, a) jeżeli zaimek względny ma dopowiedzenie, b) jeżeli się zdanie względne odnosi do imienia własnego, c) jeżeli od zdania względnego zawisło jeszcze jedno zdanie. — Że pierwotnie oba zdania w parataktycznym stósunku zostawały, tego dowodzi historya zaimka względnego; zaimek ten bowiem powstał w językach aryjskich z zaimka wskazującego, jak to n. p. staropolskie względne *ji*, *jen* obok *ji*, *ja*, *je* pokazuje. Wykazuje autor daléj, że attrakcya powstała na gruncie mowy potocznéj, codziennéj; jakoż jest ona w dyalogach, ale nie ma jéj w chórach dramatycznych; a poeci łacińscy używają jéj nader rzadko i to tylko w komedyi, naśladując potoczną mowę. *R.*

Kühnast Ludwig, über Livius als Schullekture. *I. Theil, Rastenburg 1863. II. und III. Theil, Marienwerder 1867. 1868.*

Autor wykazuje najprzód stanowisko, jakie Livius w szkołach 17. i 18. wieku zajmował; przechodzi potem do zarzutów, jakie filologowie począwszy od Sturma i Riviusa aż do Krebsa i Gryzara przeciw wzorowości liwiuszowskiego stylu podnosili; i wykazuje, że największa część tych zarzutów, co się tyczy neoterysmów, archaizmów, syntaktycznych i ortograficznych odrębności, wynikła z niedostatecznéj znajomości i jednostronnego ocenienia autora. W końcu podaje autor zupełną „Składnię liwiuszowską" od składni zgody począwszy aż do nauki o zdaniach. Ta ostatnia część przytoczonéj pracy zapełnia bardzo dotkliwą lukę w gramatyce łacińskiego języka; albowiem co się tyczy liwiuszowskiéj składni, ograniczeni byliśmy dotychczas prawie na same tylko przykłady w gramatykach, szcze-

gólnie zaś w gramatyce Weissenborna zawarte. Praca Kühnasta jest więc pierwszą pracą, traktującą w związku składnię liwiuszowską, albowiem rozpoczęte przez Krah w roku 1859 „specimen grammaticae Livianae" nie zostało ukończone. W końcu zwracamy jeszcze uwagę czytelników naszych na bardzo cenne dodatki: II. str. 66. znajduje się spis tak zwanych ἅπαξ εἰρημένα i rzadkich słów w Liwiuszu się znajdujących; III. str. 7. zestawienie liwiuszowskich pleonasmów; III. str. 22. ocenienie rękopisu moguckiego; III. str. 32. zestawienie infinitywów salustowskich. *R.*

Herbst Dr. zur Frage über den Geschichtsunterricht auf höheren Schulen. *Mainz, 1869, Kunzes Nachfolger.*

Na wstępie wykazuje autor trudności, z jakiemi metodyka nauki dziejów w szkołach gimnazyalnych ma do walczenia, i podaje krótki rys usiłowań na tém polu od M. Menandra począwszy. Następnie wykazuje potrzebę podręcznéj książki, a poświęciwszy kilka uwag nauce historyi w klasach niższych, rozwodzi się obszerniéj nad tąże nauką w klasach wyższych i dowodzi — na co się zupełnie zgadzamy — aby historyi starożytnéj nie przed średnią i nowszą, ale na samym końcu t. j. dopiero w ostatnich klasach uczono. W końcu podaje sposoby, jak naukę gieografii z historyą połączyć. *R.*

Polibii historiae. *Edidit Frid. Hultsch. Vol. II. Berlin, 1868. Weidmann. 1 Thl.*

Tom ten zawiera 4. i 5. księgę i to, co się z następujących książek zachowało. Praca ta do najznamienitszych tegoczesnych prac na polu krytyki tekstu.

Rozmaitości.

* Gimnazya węgierskie różne przebyły koleje w ostatniém dwudziestoleciu i kilkakrotnéj uległy reformie, spowodowanéj zmianą politycznych stósunków królestwa węgierskiego. I tak: w roku 1849 statut organizacyjny dla gimnazyów i szkół realnych, po dziś dzień w Cislitawii obowiązujący, został i w Węgrzech zaprowadzony, a równocześnie z nim język niemiecki jako wykła-

dowy. Ten stan rzeczy trwał aż do roku 1860 (pominąwszy rozporządzenie cesarskie z dnia 20 lipca 1859, dozwalające w gimnazyach niemieckich używać języka krajowego przy wykładach; któreto rozporządzenie nie weszło właściwie w życie). W tym bowiem roku zniesiono na mocy dyplomu październikowego wspólne ministeryum oświaty i poruczono sprawy oświaty w krajach do korony węgierskiéj należących kancelaryi nadwornéj węgierskiéj. — Piérwszą czynnością téjże było wyrugowanie języka niemieckiego i wprowadzenie węgierskiego, jako wykładowego. — W sierpniu roku 1861 król. węg. rada namiestnicza powołała komisyą ludzi zawodowych, którzy pod przewodnictwem arcybiskupa Lonovics'a mieli wypracować projekt do nowéj organizacyi węgierskich gimnazyów, stósownie do zmienionych stósunków politycznych kraju. Na podstawie elaboratu téj komisyi wydano jeszcze w roku 1861 prowizoryczny plan naukowy dla gimnazyów węgierskich, według którego w piérwszych dwóch klasach zaprowadzono dawny system nauczycieli klasowych; w trzech wyższych zaprowadzono częściowo, w trzech najwyższych zaś w zupełności system nauczycieli zawodowych. Oprócz tego zmieniono i plan naukowy, mianowicie: greka wypadła w cztérech niższych klasach; historya powszechna i naturalna w dwóch najniższych i t. p. Główny nacisk kładziono na naukę języka węgierskiego, historyi węgierskiéj i filozofii, którą z wszystkiemi prawie jéj działami (logikę, metafizykę, psychologią, etykę i historyą filozofii) wykładano w trzech najwyższych klasach, na co tygodniowo dziesięć godzin było wyznaczonych. — Nowy ten plan naukowy wnet okazał się niepraktycznym, a stan nauczycielski sam przy różnych sposobnościach otwarcie przeciw niemu się oświadczał.

Kancelarya nadworna, uwzględniając te zażalenia, poruczyła dekretem z dnia 10 czerwca 1864 król. węg. radzie namiestniczéj złożyć komisyą z mężów zawodowych, któraby na podstawie poczynionyzh doświadczeń podjęła dokładną rewizyą prowizorycznego planu naukowego z r. 1861. Komisya ta wypracowała rzeczywiście odnośny projekt, ale ten wcale w życie nie wszedł.

Po dokonanéj z Węgrami ugodzie w r. 1862 weszło osobne ministeryum oświaty dla krajów węgierskich w życie. Nowy minister oświaty, br. Eötvös, wydał zaraz w październiku r. 1867 okólnik, w którym wyłuszczył zasady nowéj reformy gimnazyów węgierskich. Okólnik ten ograniczył gimnazya na 6 klas, wyrugował język grecki zupełnie, a ograniczył znacznie język łaciński na korzyść węgierskiego. — Wnet i ta reforma okazała się niepraktyczną, a opinia publiczna tak głośno domagała się ulepszeń stósunków istniejących, że ministerstwo oświaty już w styczniu r. 1869 radykalną podjęło reformę. Według téj najnowszéj organizacyi obejmują gimnazya węgierskie 9 klas; z tych piérwsze cztéry tworzą gimnazyum niższe i mają do gimnazyum wyższego i do wyższych szkół realnych przygotowywać. Potém następują dwie klasy średnie, tak zwane „humaniora“, w których przeważne zajmuje miejsce klasyczna filologia. Nakoniec następują 3 klasy licealne, jako kurs przygotowawczy do wszechnicy i akademii technicznéj. To liceum ma trzy wydziały: 1) filologiczny dla przyszłych kandydatów filologii, teologii i t. p.; 2) prawniczy dla przyszłych prawników, nacyonalnych ekonomów i t. p. 3) przyrodniczy dla przyszłych techników, lekarzy i t. p.

Obowiązkowymi dla wszystkich bez wyjątku uczniów są następujące przedmioty: religia, język, styl i literatura węgierska, język niemiecki, historya powszechna i gimnastyka. Nauka języka łacińskiego zaś i matematyki zastósowana jest do odrębnych potrzeb pojedyńczych grup, i w różnych rozmiarach się odbywa. — Języka greckiego uczą w wydziale filologicznym przez 3 kursy; ucznio-

wie zaś wydziału prawniczego i przyrodniczego mają sobie przyswoić tylko nieco form greckich dla zrozumienia wyrazów technicznych greckich. — Filozofia ważne zajmuje stanowisko w liceach; wykładają ją z wszystkimi jéj działami (logikę, psychologią, metodologią, metafizykę, encyklopedyą, estetykę i historyą filozofii) po 5 godzin tygodniowo we wszystkich klasach licealnych.

Wszelako i ten nowy ustrój gimnazyów węgierskich nie uzyskał powszechnego uznania, a mianowicie nauczyciele szkół średnich są jawnymi jego przeciwnikami. — Dnia 24. i 25. marca b. r. odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół średnich węgierskich w Peszcie, na którém rozbiérano kwestyą szkół średnich. Rezultat téj konferencyi nauczycielskiéj był następujący: zgromadzeni oświadczyli się ze względów dydaktycznych i pedagogicznych przeciw połączeniu gimnazyów z liceami; również przeciw trójdzielności liceów; wyrazili zaś życzenie przywrócenia gimnazyów ośmioklasowych, podzielonych na 4 niższe i 4 wyższe klasy; daléj żądają zaprowadzenia obowiązkowéj nauki rysunków w gimnazyum niższém; ograniczenia greki na gimnazyum wyższe o tylu godzinach wykładowych, ażeby uczniowie w końcu Xenofonta, Homera, Herodota i Platona z korzyścią czytać mogli; i nareszcie zaprowadzenia języka niemieckiego, jako obowiązkowego we wszystkich klasach tam, gdzie obok węgierskiego nie uczą innego języka krajowego.

Gdyby uchwały téj konferencyi wpłynęły na postanowienia ministeryalne a rezolucya powyższa rzeczywiście w życie wprowadzoną została, to byłaby to już s z ó s t a z kolei reforma w przeciągu lat dwudziestu.

Dodać trzeba, że co tu o gimnazyach węgierskich powiedziano, dotyczy tylko zakładów katolickich; ewangelickie bowiem gimnazya mają od r. 1860 stanowisko odrębne i rodzaj egzemcyi chociaż nieprawnéj, gdyż nie stoją pod zarządem ministeryum oświaty, tylko pod bezpośredniém kierownictwem konsystorza ewangelickiego; u nich więc pozostał dawny plan naukowy.

* Stowarzyszenie wiedeńskie „*Mittelschule*“ obradowało w kilku posiedzeniach nad organizacyą szkół realnych. Ostatecznie zgodzono się na to, że szkoła realna ma się uważać jako zakład ogólnego wykształcenia, sięgający daléj niż szkoła ludowa miejska i wiejska, i przysposabiający do tych wyższych zawodów życia, które się na matematyce i naukach przyrodniczych opierają. Ma się składać z 8 klas, z których 4 pierwsze także realném gimnazyum być mogą. Obowiązkowymi przedmiotami nauki mają być: religia, języki (ojczysty, łaciński w cztérech niższych klasach, francuski, angielski), gieografia i historya, matematyka, rysunek gieometryczny i gieometrya wykreślna, historya naturalna, fizyka, chemia i rysunki odręczne. Jako dowolne przedmioty mają wchodzić w plan naukowy szkoły realnéj język łaciński i grecki w wyższych klasach, inne żyjące języki, modelowanie, stenografia, kaligrafia, śpiew, gimnastyka i t. p. Żwawa debata toczyła się o to, czy policzyć gimnastykę do obowiązkowych czyli też do dowolnych przedmiotów; ostatecznie zgodzono się na uznanie takowéj jako przedmiotu dowolnego.

* Według najnowszych wykazów statystycznych wychodzi w Węgrzech 126 gazet węgierskich, 57 niemieckich, 30 słowiańskich, 11 rumuńskich, 1 włoska i 1 łacińska.

Odpowiedzialny redaktor Bronisław Trzaskowski. Nakład K. Wilda.

Z drukarni E. Winiarza.